

ŚWIAT**Klany, media i siła ludu**

O specyfice filipińskiej demokracji i scenariuszach majowych wyborów pisze Franciszek Czech — **s. 36**

IDEE**Catherine Malabou**

Czym według francuskiej filozofki jest plastyczność mózgu i wybuchowa dekonstrukcja? — **s. 58**

PUBLICYSTYKA**Rocznica chrztu Polski**

Dlaczego uniwersalne przesłanie chrześcijaństwa bywa w Polsce redukowane do religii plemiennej? — **s. 52**

KULTURA**Architektura VII Dnia**

Czym polskie kościoły z PRL wyróżniają się na tle architektury europejskiej XX w.? — **s. 100**

ZNAM

M I E S I Ę C Z N I K

Nr **731**

CENA: 19,90 zł | VAT 5% (W PRENUMERACIE: 14 zł)
KWIECIEŃ (04) 2016

Czarnobyl – eksplozja wolności

Oksana Zabuzko: „Rak planety, jej genetyczny błąd – oto kim naprawdę jesteśmy”

Siergiej Paskiewicz: O królestwie zwierząt w czarnobylskiej strefie wykluczenia

„Płynu Lugola łyk”: Czarnobyl jako doświadczenie pokolenia 30-latków — **s. 4-29**





Dominika Kozłowska

Duma i zawstydzenie

W KWIETNIU OBCHODZIMY JUBILEUSZ CHRZTU MIESZKA, który stawia nas wobec pytań o początek polskiego chrześcijaństwa. Następnie zaś – 30. rocznicę katastrofy w Czarnobylu, która przyczyniła się do upadku Związku Radzieckiego. Obydwa wspomnienia są trudne, choć z zupełnie innych powodów.

Ryzyko fałszywej dumy pojawia się wówczas, gdy w wydarzeniu z roku 966 widzimy przede wszystkim wymiar historyczny i polityczny, źródło narodowej tożsamości, siły polskiego państwa i skuteczne narzędzie jego trwania. I mimo że chrzest Mieszka był aktem o znaczeniu politycznym, a dzieje polskiej państwowości są nierozdzielnie związane z katolicyzmem, z perspektywy Kościoła świętowanie jubileuszu powinno stać się okazją powrotu do religijnych, a nie tylko politycznych źródeł. Również politycy, którzy w tym wydarzeniu widzą przede wszystkim akt założycielski wspólnoty narodowej i źródło siły państwowości polskiej, nie powinni przy tej okazji ulegać przekonaniu, że Polacy są narodem katolickim, bo takiego narodu w ogóle nie ma i z definicji być nie może. Katolicki jest Kościół, a nie naród.

Historia 40 – jak umownie się liczy – pokoleń polskich chrześcijan obejmuje wiele niezwykłych świadectw miłości i zrozumienia wobec bliźnich, ale są w niej także i przykłady skrajnej nietolerancji, zła czynionego w imię błędnie rozumianej religii. Świadomość zła, którego dopuszczali się w Polsce katolicy, jest istotnym obszarem naszej pamięci. Dopiero w świetle tej trudnej i traumatycznej historii w dojrzały sposób możemy decydować o tym, które elementy naszej tradycji pragniemy podejmować w przyszłości.

Jubileusz chrztu Polski zaledwie o dwa miesiące poprzedza bardzo trudną rocznicę – pogrom kielecki. Fałszywa duma może rodzić pokusę kultywowania fałszywej pamięci – bagatelizowanie znaczenia tej rocznicy byłoby po części usprawiedliwieniem morderstwa Żydów.

Wiara w mord rytualny po raz pierwszy została potępiona w roku 1247 przez papieża Innocentego IV, a jednak przez kolejnych siedem wieków wisiały w Kościołach obrazy przedstawiające mord rytualny, a ambony były miejscem antysemitkich wystąpień. Fałszywa duma nie pozwala dostrzec zagrożeń wynikających z powrotu do życia publicznego antysemitkich i ksenofobicznych przekonań; znów, mimo ważnych słów i dokumentów również polskich biskupów. Jednoznaczna i zdecydowana postawa ludzi Kościoła także i w tym przypadku może nas ustrzec przed herezją polegającą na zamienianiu religii miłości w „ksenofobiczną religię plemienną” – jak to wciąż powracające zagrożenie nazwał niegdyś na łamach „Znaku” Stefan Wilkanowicz, o czym w dziale Publicystyka wnikliwie pisze Janusz Poniewierski. Księża narodowcy głoszący z Biblią w rękę nienawiść wobec innych i obecność w polskim parlamencie reprezentantów ruchu narodowego przez obóz władzy traktowanych jako siły wzmacniające polskie państwo to także konsekwencja rozumienia chrztu przede wszystkim jako wydarzenia politycznego.

O ile jubileusz roku 966 to doświadczenie powrotu do początków, o tyle przywołana na łamach kwietniowego „Znaku” rocznica katastrofy w Czarnobylu jest wydarzeniem końca: rozpadu ZSRR, schyłku komunizmu, upadku marksistowskiej utopii, która dominować miała nad światem ludzkim, innymi stworzeniami i całą przyrodą.

Doświadczenie Czarnobyla, któremu poświęciliśmy kwietniowy Temat Miesiąca, wyraźnie wpisuje się w nurt refleksji nad fałszywą dumą i szczerym zawstydzeniem. Wstyd, o którym pisaliśmy w lutym „Znaku”, bycia ofiarą, „skażonym złem”, dotkniętym przez trudną historię i obciążające dziedzictwo poprzednich pokoleń stanowi uniwersalne doświadczenie krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Łączy je także nieumiejętność rozmowy o przeszłości, szczególnie tej, która jest elementem pamięci pokoleń świadków. — **Z**

E-WYDANIA MIESIĘCZNIKA

dostępne w formatach epub/mobi/pdf na następujących platformach:



(możliwość zakupu e-pronumeraty)



SPIS TREŚCI



6 **Planeta Piotun**
Oksana Zabużko (tłum. Katarzyna Kotyńska)



36 **Klany, media i siła ludu**
Franciszek Czech



60 **To samo jest różne**
Catherine Malabou w rozmowie z Noëlle Vahanian (tłum. Piotr Sawczyński)



fol. 190: Snopek/Architektura VII Dnia, Kuba Snopek w rozmowie z Arkadiuszem Gruszczyńskim, Sandro Tucci/Liaison/Getty, Richard Dumas/Agence VU/East News

100

KUBA SNOPEK W ROZMOWIE Z ARKADIUSZEM GRUSZCZYŃSKIM

Niepokorna architektura siódmego dnia

W momencie ogromnych problemów ekonomicznych i społecznych władza wydawała więcej pozwoleń na stawianie kościołów. Powód był prosty: ludzie mieli zająć się budową, a nie protestami

ZNAK
M I E S I Ę C Z N I K

ul. Tadeusza Kościuszki 37, 30-105 Kraków
tel. (12) 61 99 530, fax (12) 61 99 502
e-mail: miesiecznik@znak.com.pl
www.miesiecznik.znak.com.pl

redakcja: Mateusz Burzyk (sekretarz redakcji), Marta Duch-Dyngosz, Monika Gałka, Ilona Klimek, Dominika Kozłowska (redaktor naczelna), Urszula Pieczek, Janusz Poniewierski, Agnieszka Rzonca, Krystyna Strączek, Henryk Woźniakowski

zespół: Wojciech Bonowicz, Bohdan Cywiński, Bartłomiej Dobroczyński Tomasz Fiałkowski, Tadeusz Gadacz, Jarosław Gowin, Stanisław Grygiel, ks. Michał Heller, Józefa Hennenłowa, Wacław Hryniewicz OMI, Jerzy Illg, Piotr Kłodkowski, Janina Ochojska-Okońska, bp Grzegorz Rys, Władysław Stróżewski, Karol Tarnowski, Stefan Wilkanowicz

współpraca: Paulina Bulska, Piotr Cebo, Aleksander Gomola, Michał Jędrzejek, Elżbieta Kot, Daniel Lis, Artur Madaliński, Anna Marchewka, Anna Mateja, Andrzej Muszyński, Tomasz Ponikło, Jolanta Prochowicz, Adam Puchejda, Miłosz Puczydłowski, Justyna Siemienowicz

opieka artystyczna: Władysław Buchner

projekt graficzny pisma: Władysław Buchner, Rafał Buchner

projekt graficzny numeru, skład i łamanie: Barbara Sadowska

fotoredycja: Marcin Kapica

korekta: Barbara Gąsiorowska

druk: Drukarnia Colonel, Kraków, ul. Dąbrowskiego 16

nakład: 1600 egz.

promocja i reklama: Monika Gałka, tel. (12) 61 99 530, e-mail: galka@znak.com.pl

prenumerata: Joanna Dyląg, tel. (12) 61 99 569, e-mail: dylag@znak.com.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych ogłoszeń. Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego | Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

TEMAT MIESIĄCA

6 **Planeta Piotun**
Oksana Zabużko (tłum. Katarzyna Kotyńska)

18 **Strefa radioaktywnego zapomnienia**
Siergiej Paskiewicz (tłum. Małgorzata Buchalik)

26 **Nie / przerwana trauma Czarnobyla**
Aleksiej Łastouski (tłum. Joanna Bernatowicz)

27 **Prometeusz chybił**
Serhij Stukanow (tłum. Urszula Pieczek)

29 **Strach reżymu**
Donatas Puslys (tłum. Kamil Pecela)

MITOLOGIA WIELKIEJ PŁYTY

32 **Rozdzielanie**
Wit Szostak

FELIETONY

35 **Coraz bliżej albo coraz mniej**
Józefa Hennenłowa

SPOŁECZEŃSTWO • ŚWIAT

36 **Klany, media i siła ludu**
Franciszek Czech

44 **Mikrohistoria – makroproblem w Peru**
Marta Kania

PUBLICYSTYKA

52 **Wokół jubileuszu 1050-lecia chrztu Polski**
Janusz Poniewierski

IDEE

60 **To samo jest różne**
Catherine Malabou w rozmowie z Noëlle Vahanian (tłum. Piotr Sawczyński)

68 **Plastyczność a cierpienie mózgowe i psychiczne**
Catherine Malabou (tłum. Mateusz Burzyk)

76 **Nasi ojcowie (święci) i „starsi bracia”**
Janusz Poniewierski

78 **Módl się i pracuj**
Rozmawiają: ks. Grzegorz Strzelczyk i Jerzy Vetulani

STACJA: LITERATURA

84 **Klechdy z Żebraczego Jaru**
Aleksandra Zielińska

LUDZIE • KSIĄŻKI • ZDARZENIA

92 **Poleżeć na ziemi**
Natalia Bażowska w rozmowie z Martą Lisok

100 **Niepokorna architektura siódmego dnia**
Kuba Snopek w rozmowie z Arkadiuszem Gruszczyńskim

108 **Kapitalizm i (nie) odpowiedzialność**
Krzysztof Wołodźko

111 **Ateista nie musi przeproszać**
Tadeusz Zatorski

114 **Intymny Kierkegaard**
Antoni Szwed

116 **Czas na wspólnotę akademicką**
Maciej Jakubowiak

117 **Myśleć do siebie**
Artur Madaliński

118 **„Uczta ziemska, uczta niebiańska”**
Magdalena Wrana

121 **Serce rozważne szuka mądrości**
Mieczysław Godyń

122 **Noty o książkach**

124 **Mój przyjaciel wiersz**
Jerzy Illg

126 **Nieźła sztuka**
Yayoi Kusama

❑ Maj 1986 r., badacze mierzą promieniowanie i zbierają próbki roślin do analizy wewnątrz 30-kilometrowej strefy wokół elektrowni w Czarnobylu. Używają przestarzałych liczników, a ich kombinezony, stworzone do osłony przed bronią chemiczną, nie chronią przed radioaktywnym skażeniem
fot. Igor Kostin/Sygma/Corbis/Profimedia

Temat Miesiąca

Katastrofa czasu

Wybuch elektrowni jądrowej w Czarnobylu pozostaje jedną z największych katastrof przemysłowych XX w., która zmieniła polityczną mapę Europy. Po 30 latach czarnobylska strefa wykluczenia to miejsce bez człowieka, pomnik pamięci środkowoeuropejskiej, przemilczanej apokalipsy, przestrzeń, w której triumfuje natura. To miejsce, w którym nie tylko atom uległ rozpadowi, tam rozpadł się czas.

Co wydarzyło się 26 kwietnia 1986 r.? Jak zachować pamięć o katastrofie nuklearnej? Jak wybuch jądrowy przyczynił się do upadku Związku Radzieckiego? Czy strefa skażona może być rajem dla roślin i zwierząt? Czy Czarnobyl to katastrofa przeszłości czy przyszłości?

Odpowiadają:

Oksana Zabuzko, Siergiej Paskiewicz, Aleksiej Łastouski, Serhij Stukanow, Donatas Pustys

s. 6–31

Planeta Piołun

OKSANA ZABUŻKO

Dopiero wtedy kiedy ostatnie drzewo zostanie ścięte, ostatnia rzeka – zatruta, ostatni ptak – schwytany, zrozumiecie, że pieniędzy nie można jeść

Thathánka Íyotake
(Siedzący Byk)

26 KWIETNIA 1986 R. W KIJOWIE, W OKOLICY SZULAWKI, SPADŁ ŚNIEG.

Trwało to może minutę albo dwie. Dzień był już prawie letni, słoneczny, drzewa stały w kwiatach i nad wiśniami i morelami, które o tej porze roku szczęśliwie zasłaniają śnieżnobiałymi weselnymi buketami koszmarkowość radzieckiej mieszkaniówki, brzęczały pszczoły – ciepła, basowa nuta w szumie miasta... Wysiadłam z przepełnionego trolejbusu i pierwsze, co rzuciło mi się

w oczy, gdy tylko stanęłam na chodniku, była zmiana oświetlenia: nad propektem, na pół nieba, nawisła od północy jak górski grzbiet burzowa chmura niewiarygodnej, nieznanej w tamtych, przedcyfrowych czasach jaskrawości: niczym podświetlona od środka; zachód płonął spod niej jakimś zimnym metalicznym blaskiem – jak w atmosferze innej planety.

– Ale pięknie! – westchnął ktoś za plecami.

Pamiętam zachwyt na twarzach przechodniów, oblanych przedziwnym światłem, jak na dyskotecę. Podobne kadry, tylko jeszcze bardziej „granatowo” oświetlone, można dziś zobaczyć w *Melancholii* Larsa von Triera, w scenie, w której bohaterowie wychodzą na ganek oglądać planetę zabójcę: zadarte głowy, zamarte szerokie uśmiechy... I wtedy spadł śnieg.

Spadał i od razu topniał. Pamiętam, jak śnieżynki lądowały na kołnierzu mojego żakietu – żakiet był biały i ja, śmiejąc się z zaskoczenia, jak wszyscy wokół (tego tylko brakowało: śnieg w środku wiosny! „śnieg na liściach zielonych”, był taki ukraiński hit w latach 60., la-lala-lala!), zdążyłam jeszcze pożałować, że na białym tle nie widać śnieżynek: miałam 25 lat i o śniegu wiedziałam tylko tyle, że mi

z nim do twarzy – poprzedniej zimy mężczyzna, w którym byłam zakochana, pocałował mnie wśród śnieżycy, starając się nie strząsnąć śniegowej czapy z moich włosów, i w tamtej chwili widziałam siebie jego oczami. I czułam się piękna.

A już w następnej chwili zauważyłam, że śnieżynki na kołnierzu żakietu zniknęły – o dziwo, nie zostawiając po sobie ani śladu wilgoci...

Gdyby ktoś mnie poprosił, żebym przypomniała sobie wszystkie, jakie tylko w życiu widziałam, przypadki absolutnego, „nadludzkiego” piękna – tego, za jakim tęsknili romantycy i jakie Rilke tak trafnie nazwał „tylko przerażenia początkiem, który jeszcze znosimy” – to na pierwsze miejsce wysunęłaby się nie katedra w Mediolanie, nie Tadż Mahal, nie widok z wagonika na alpejską dolinę i nie zachód słońca nad Atlantykiem w oknie samolotu, ale tych kilka minut radioaktywnego śniegu na kijowskim pl. Zwycięstwa 26 kwietnia 1986 r. Nigdy, ani wcześniej, ani później, nie widziałam takiego nieba – i wiele bym dała, żeby nigdy więcej go nie zobaczyć. Tu pasuje werset z Ewangelii: „Straszna to rzecz wpaść w ręce Boga żywego”! (Hbr 10, 31). Tamto niebo właśnie tak wyglądało: jakby łada moment miał się w nim ukazać żywy Bóg. Tylko nikt nie wiedział, że w tamtej właśnie chwili Bóg wymierzał, która część ziemi na dole ma umrzeć.

„I zatrąbił trzeci anioł; i spadła z nieba wielka gwiazda płonąca jak pochodnia, i upadła na trzecią część rzek i na źródła wód. A imię gwiazdy tej brzmi Piołun. I jedna trzecia wód zamieniła się w piołun, a wielu z ludzi pomarło od tych wód, dlatego że zgorzkniały” (Ap 8, 10–11).

Piołun, „czarnobyl”, *Artemisia vulgaris*: pierwsze słowo z języka ukraiń-

skiego, które obieгло wszystkie kontynenty – pięć lat przed tym jak na mapie Europy pojawiło się słowo „Ukraina” (a jednak oba te wydarzenia są ze sobą bezpośrednio związane i dziś można już śmiało powiedzieć, że właśnie tamtego dnia, 26 kwietnia 1986 r., radzieckie imperium otrzymało wyrok śmierci, zupełnie jakby gdzieś w komputerze historii włączył się niewidzialny licznik: „do końca ZSRR pozostało .xx lat yy miesięcy zz dni”). A 25 lat później pod tą samą gwiazdą przyszły i „wody”, tylko już na przeciwnym krańcu eurazjatyckiego kontynentu: w Japonii. Ile tych wód „zgorzkniało” i ilu z ich powodu „pomrze” – tego na razie nikt z żywych nie wie, tak jak i wówczas nie wiedzieliśmy my w Kijowie.

Tak więc Rilke się nie pomylił (poeci w ogóle rzadko się mylą, po prostu mało kto ich słucha): to naprawdę był początek. Przerażenie przyszło później.

A jeszcze później okazało się, że także z przerażeniem – nawet tym „ostatnim”, apokaliptycznym – człowiek może nauczyć się żyć.

I to właśnie jest moim zdaniem najważniejsze w całej tej historii. A może nawet w całej historii XX w. W dawnych księgach o tym nie pisano – do niedawna w kulturowym arsenale ludzkości w ogóle na to „nie było słów”. My zaś, cała nasza dzisiejsza cywilizacja, skażona „melancholijnym” oczekiwaniem własnego końca niczym organizm promieniotwórczością, dopiero zaczynamy je dobierać – zagospodarowywać strefę milczenia.

Chyba powinniśmy się pośpieszyć.

PRZEZ TE CAŁE 25 LAT NIGDY O TYM NIE PISAŁAM. I NIKT Z MOICH RODAKÓW ANI razu nie spytał mnie dlaczego – o to pytają (dość regularnie) wyłącznie obcokrajowcy. Moi rodacy zbyt dobrze wiedzą, czym jest „strefa milczenia” i jak trudno z niej wyjść. Kiedy rosyjski reżyser Aleksander Mindadze zaprezentował w Kijowie film *W sobotę*, nakręcony w koprodukcji z Ukrainą i Niemcami, wedle zapowiedzi – „z okazji 25. rocznicy katastrofy w Czarnobylu” – sala kinowa pękała w szwach, ale dyskusja się nie udała: po jakichś 20 min zaczął się masowy „odpływ” widzów z sali. Te „bandyckie namietności na rosyjskiej prowincji”, które wrzały na ekranie, miały tyle samo związku z wydarzeniami naszej wiosny 1986 r. co jakiś hollywoodzki *Taras Bulba* z Yulem Brynnerem z historią zaporoskiego Kozactwa, więc kijowianie, przeważnie średniego i starszego pokolenia (ci, którzy pamiętali!), milcząco „głosowali nogami”. Kiedy zapaliło się światło, na fotelach siedziało może z półtora dziesiątka osób. A mnie przypomniął się jeden z telewizyjnych reportaży końca lat 80. – obcy dziennikarze wypytywali w 30-kilometrowej strefie wokół reaktora nielegalnych osiedleńców, którzy po roku tułaczki „po partyzancku” wrócili do rodzinnej wsi: surową, bez uśmiechu babcię w wyszywanym fartuchu, siedzącą przed swoją chatą bez ruchu niczym samuraj – a do niej tulił się sześćo- czy siedmioletni chłopczyk. Dialog, z góry skazany na brak możliwości porozumienia, prowadziły dwie cywilizacje, osiadła i nomadyczna: nomadyczna, ustami dziennikarzy, tłumaczyła babci, że przyniosła jej śmierć i że jedyny sposób ucieczki przed tą śmiercią to dołączenie do nomadów; babcia odpowiadała skąpyimi słowami – znacznie wyraźniej przemawiała sama jej twarz: wypisana była na niej niewymawialność przeżytego doświadczenia i bezgraniczna pogarda wobec rządzącej światem ludzkiej głupoty. W pewnej chwili, najwyraźniej utraciwszy nadzieję, że zostanie usłyszana, zamiast odpowiedzi machnęła ręką – „Et!” – i stanowczym ruchem wstała, biorąc wnuka za rękę.

30 września 2015 r.,
Prypeć, po prawie
30 latach od wybuchu
drzewa porosły
miasto-widmo.
Na horyzoncie widać
nieczynną elektrownię
fot. Sean Gallup/Getty



– Chłopcze, idziemy!

I zniknęła w chacie, zamykając za sobą drzwi – też „zagłosowała nogami”.

Odmowa uczestnictwa w rozmowie w obu przypadkach (ukraińska prasa, na co warto zwrócić uwagę, film *W sobotę* także z życzliwości przemilczała) jest aktem czysto etycznym. Zarówno reżyser, który chowa się za „tematem Czarnobyla” w celu rozwiązania własnych zadań artystycznych, jak i dziennikarze, którzy przyjechali zrobić efektowny reportaż o cudzym nieszczęściu, przede wszystkim łamią, rzecz jasna, pewne zasady moralne – ale równocześnie tworzą i powielają swój własny, pozbawiony związku z rzeczywistością ludzkich przeżyć, „czarnobylski dyskurs”: symulakrum, co jak betonowy sarkofag przesłania sobą tę strefę niewymagalnego doświadczenia i z każdym rokiem samą swoją rozrastającą się masą (książki, filmy, wiersze, spektakle...) coraz bardziej odbiera kulturze szansę na to, by kiedykolwiek do tego doświadczenia dotarła. Bo przecież znacznie łatwiej jest przebić się przez mur milczenia niż przez hałdy kłamstw. Im wyżej rośnie więc taka hałda,

tym bardziej atrakcyjnym z moralnego punktu widzenia wyborem wydaje się milczenie. Uważam, że jeszcze z jednego powodu w samej Ukrainie, poza reportażowym dokumentem, na „temat Czarnobyla” powiedziano stosunkowo niewiele, nieporównanie mniej niż na Zachodzie – tych, którzy mogliby i powinni to uczynić (w tym mnie samą), powstrzymywał czysto higieniczny „strach przed koniunkturalizmem”: obawa przed mimowolnym wtopieniem się w głośny i fałszywy chór maruderów,

którzy zawsze pojawiają się na miejscu katastrofy. Milczenie było uczciwsze – jakoś bardziej eleganckie czy jak.

Rozumiem, że wszystko to brzmi jak próba samousprawiedliwienia. Ale naprawdę nie mogłam o tym pisać. Dziesiątki razy próbowałam – i rzucałam: wszystko było „nie to” i „nie tak”.

I oto teraz, po 25 latach, zaczynam chyba rozumieć, dlaczego „nie tak”, dlaczego mi się nie udawało – teraz, kiedy do tej samej „strefy milczenia”, nieważne, że od innej strony, podszedł Lars von

Żadne analogie na nic się tu nie zdadzą i właśnie to nazywam Przerażeniem: poczucie, że koniec świata już nastąpił, tylko dowiedzieliśmy się o tym zbyt późno

Trier. Jego *Melancholia* to film, jak na razie, najbardziej „czarnobylski” spośród wszystkich, które widziałam: pod względem psychologicznym najsilniej współbrzmiący z tym, co my czuliśmy w Kijowie w maju 1986 r. (...)

TAMTEN BIAŁY ŻAKIET NOSIŁAM JESZCZE DŁUGO: BYŁ NOWY I ŁADNY, A W ZSRR KUPNIE CEGOKOLWIEK NOWEGO I ŁADNEGO STANOWIŁO PROBLEM AŻ DO KOŃCA – TO ZNACZY AŻ DO CHWILI KIEDY SIĘ ROZPADŁ. A dozymetrów nie mieliśmy: swój pierwszy (a zarazem ostatni!) zobaczyłam dopiero miesiąc później, pod koniec maja – w jednostce wojskowej, do której pojechałam czytać wiersze. Jako kijowiankę (w oczach całej reszty ówczesnego ZSRR – człowieka z zadżumionego miasta) po występie, w ramach rewanżu za wiersze, oficer nakazał mnie „zmierzyć” – i to było moje, bez cienia przesady, najcenniejsze honorarium w życiu: tym poleceniem oficer na oczach podwładnych łamał „tajemnicę wojskową ZSRR” i ryzykował własną karierę, w razie gdyby na sali znalazł się donosiciel (ale licznik na komputerze historii już tykał: donosiciele bano się mniej niż promieniowania i w obliczu tego większego strachu ludzie prostowali się i nabierali odwagi). Młodziutcy żołnierze „mierzyli” mnie ze wzruszającą, niemal lekarską dbałością. Pamiętam, że „zapiszczały” buty – i chyba mankiety rękawów, ale pod koniec maja i tak wszyscy już wiedzieli, że najwięcej „łapią” buty, ręce i włosy, i dlatego po wejściu do domu trzeba je niezwłocznie „zdezaktywować”, tj. umyć (nawyk mycia głowy tak samo często jak zębów pozostał mi do dziś). Po prostu: myć, myć, póki wystarczy sił, w wersji idealnej – wszystko i bez przestanku. W maju 1986 r. Kijów był najczystszy miastem na Ziemi: dzień i noc po ulicach krążyły polewaczki i czarny gładki asfalt w białych kołnierzach piany mienił się w słońcu jak rentgenowska klisza. Czasem pachniało gabinetem rentgenowskim. A świeżością nie wiedzieć czemu nie pachniało – może dlatego że na ulicy wszyscy staraliśmy się nie oddychać pełną piersią i w ogóle jak najmniej wystawiać nosy z zamkniętych pomieszczeń, a może zwyczajnie na jakiś czas nasz węch uległ przytępieniu. To drugie wydaje mi się bardziej prawdopodobne: wszystkie zmysły były wówczas trochę ogłuszone, jakby wytrącone z równowagi i raz po raz wysyłały mózgowi błędne sygnały, w gardle drapało jak przy przeziębieniu, a bólu nie było (reakcja na izotop jodu, która trwała dokładnie cztery tygodnie – czyli przez okres całkowitego rozpadu), a kiedy komus niespodziewanie w biały dzień ciemniało przed oczami, nikt nie umiał powiedzieć, czy to skutek napromieniowania, czy reakcja na alkohol (za lekarstwo „na promieniowanie” uważano czerwone wino, i przez cały maj sumiennie wszyscy się nim upijaliśmy, włącznie ze starcami i inwalidami) – innymi słowy, pod względem

fizjologicznym wszyscy byliśmy jakby trochę „wykoślawieni”: nasze ciała, te stare dobre karteżjańskie maszyny, zaprogramowane dla fizyki klasycznej, buksowały, tak znieuważone wrzucone w „przestrzeń nieeuklidesową”, zupełnie jakby PowerMac usiłował otworzyć plik sformatowany pod MacOS X Lion. 2,5 mln ludzi, wielki magazyn obdarzonych uczuciami PowerMaków, które nagle stały się przestarzałe – oto czym był Kijów w maju 1986 r. I na co, chciałoby się spytać, zdałby mi się ten dozymetr?...

Najlepszym „dozymetrem” były pszczoły. Każdego ranka na parapecie ciemniał nowy stosik ich włochatych martwych ciałek, a ja liczyłam: trzy, sześć, osiem... Po liczbie „jedenaście” krzywa pszczelej śmierci zaczęła opadać. Uczucie, z którym każdego ranka po otwarciu okna zmiatałam je z parapetu mokrą ścierką, także nie było niczym nowym: paliło mnie poczucie gatunkowej winy, winy silniejszego wobec słabszego, w tłumaczeniu (bardzo przybliżonym!) na język tegoż samego karteżjańskiego dyskursu (czy może w tym przypadku – kantowskiego?) – „one przecież nic nie rozumieją!”. Właśnie dlatego że one nie rozumiały, a ja rozumiałam, wstydziłam się przed nimi: przed wszystkimi naraz, żywymi, martwymi i nienarodzonymi (Platon mógłby powiedzieć – przed „ideą pszczoły”). Zupełnie jakbym to ja zbudowała im elektrownię atomową, wypchała ją wzbogaconym plutonem i wysadziła w powietrze; jakbym to ja odpowiadała za ich pszczelą śmierć. Z punktu widzenia pszczoły (albo, jeśli ktoś woli, jej „zbiorowego rozumu”) tak zapewne jest. Z punktu widzenia pszczoły nie ma żadnej różnicy między mną a byłym stalinowskim komisarzem ludowym, przewodniczącym komitetu ds. energii atomowej ZSRR akademikiem Petrosjancem, który 6 maja na żywo oznajmił w telewizji wszystkim,

co już umarli i jeszcze mieli umrzeć, że „nauka wymaga ofiar!” – oboje należymy do „jednego ula”. I ja sama nie miałam żadnej możliwości usprawiedliwienia się przed żadną pszczolą ani innym owadem – to tylko w dzieciństwie ma się z nimi dwustronny kontakt (weźmiesz na palec biedronkę siedmiodropkę, powiesz jej „biedroneczko, leć do nieba, przynieś mi kawałek chleba” – a biedronka rozkłada skrzydełka i leci!). Jak w ogóle wygląda świat z perspektywy pszczoły albo biedronki? Albo jaskółki czy jabłoni – co one czują, dlaczego nic o tym nie wiem?... I po jakiego grzyba współ z akademikiem Petrosjancem budujemy elektrownie atomowe

i uczymy się języków maszynowych, skoro nawet nie spróbowaliśmy stworzyć najpierw jakichkolwiek sposobów nawiązania kontaktu z nimi wszystkimi – żyjącymi obok nas i w przeciwieństwie do nas całkowicie niewinnymi?...

...Wiosną 2011 r., kiedy cały internet obiegiło zdjęcie z Japonii, na którym przestraszona trzęsieniem ziemi panda przypadła do człowieka i objęła go łapami za nogę, poczułam krótkie ukłucie tego samego gatunkowego wstydu: one wciąż nam ufają! Uważają nas za starszych, za „dorosłych w domu”, i kiedy dom zaczyna się chwiać, biegną do nas po pomoc; myślą, że jesteśmy mądrzejsi... To uczucie jest

silniejsze niż odpowiedzialność wobec pokrzywdzonych dzieci: one są wszak „spersonifikowane”, odpowiadają za nie (przynajmniej tak się uważa) rodzice. W maju 1986 r. Kijów był miastem bez dzieci – fakt, nie od razu je wywieziono, niesławnej pamięci „pierwszomajowa demonstracja klasy robotniczej”, na którą zgodnie z poleceniem KC Komunistycznej Partii Ukrainy kijowskie szkoły musiały dostarczyć, dla ubarwienia telewizyjnej relacji, odpowiedni kontyngent małych żołnierzy, odbyła się jeszcze bez protestów (cztery lata później, kiedy społeczeństwo zażądało pociągnięcia winnych do odpowiedzialności, były ukraiński przywódca Wołodimir Szczerbycki strzelił sobie w głowę, zapoczątkowując tym listę „nomenklaturowych samobójstw” schyłku ZSRR) – ale mniej więcej przez następne dwa tygodnie miasto pustoszało w oczach, „bezdzielniało”, aż wreszcie na każdą kłującą w oczy mamę z wózkiem zaczęto patrzeć nie tyle ze współczuciem, ile z potępieniem: idiotka, co ona sobie myśli!... Jeśli chodzi o nieantropomorficzne formy życia, to takiego „kozła ofiarnego”, na którego można by się zezłościć, nie było: pozostawałeś ty sam. I, jak zawsze w obliczu prawa, jego nieznanostwo nie zwalniała cię od odpowiedzialności.

Wybiegając do przodu, powiem, że na początku nowego tysiąclecia przyszło mi przeżyć tę samą „solidarność ze wszystkim, co żyje” (trafniejszego określenia w naszej kulturze to uczucie niestety nie ma!) w formie jednorazowego już szoku, kiedy upubliczniono historię produkcji broni biologicznej w ZSRR w latach 70. i 80. Najsilniej wstrząsnęły mną obrazy z martwego laboratorium na należącej obecnie do Kazachstanu Wyspie Odrodzenia (tak!) na Morzu Aralskim. To nie była przerażająca scena ze *Szczęśliwego*

człowieka Lindsaya Andersona, rzeczywistość okazała się bardziej banalna: piętrowy ceglany barak, ściany, jak w dowolnej radzieckiej instytucji państwowej, pomalowane do połowy farbą olejną, szereg brudnych pustych klatek różnych rozmiarów, od ptasich do małych, a wśród nich jedna o niejasnym przeznaczeniu – w sam raz na wzrost człowieka. Po tych kadrach przez kilka dni czułam fizyczne nudności na samą myśl, że ja też jestem człowiekiem. Cios był tym silniejszy, że terytorialnie wyrosłam w tym samym kraju – chodziłam do szkoły, studiowałam, podróżowałam, śpiewałam w chórze, pisałam wiersze – a kilka tysięcy kilometrów dalej na wschód w tej klatce ktoś cały czas siedział (spośród skazanych na śmierć? o tym, że takich skazańców tak naprawdę wysyła się „do kopalni uranu”, w późnym ZSRR mówiono prawie otwarcie). W pewnym sensie robiło to ze mnie współniczkę – i niczym pleśnią, niewidoczną, jadowitym pyłem kłamstwa powlekało wszystko, czym się zajmowałam: w „zbiorowym rozumie” ludzkości istniała już wówczas inna prawda, do której należałoby przymierzać szkoły i uniwersytety, i tę „ostatnią” prawdę o człowieku znał ten, kto siedział w klatce – po tej samej stronie co świnki morskie i rezusy. Może gdyby ta prawda nie została pochowana razem z nim (czy – z nimi? ilu ich siedziało w tej klatce, jak często ich wymieniano?...), to w maju 1986 r. w takim samym położeniu nie znalazłoby się już miliony nas, tych, którzy dumnie przyznawali sobie określenie *Homo sapiens*, a kogo trafniej byłoby nazwać – za Arystotelesem – „bezpierśnymi dwunogami”?...

– Ludzkość to rak planety – powiedział mi w tamtych dniach mój ukończony (kilka miesięcy później wzięliśmy ślub, który przetrwał jeszcze prawie

siedem lat, ale chyba nigdy nie kochaliśmy się tak mocno jak tamtej wiosny). Ukończony był fizykiem i przyjmował wszystkie wydarzenia ze spokojnym, rozważnym fatalizmem – np. niezmiennie wypalał swoją paczkę papierosów dziennie, bo, jak mawiał, przy tej „tablicy Mendelejewa”, którą otrzymywały nasze płuca, różnica między paleniem a niepaleniem była już pomijalna; i na kolejki, które gorączkowo opróżniały apteki ze wszelkich „czarnobylskich placebo”, od spirytusu do węgla aktywowanego, patrzył mniej więcej takim wzrokiem jak w *Melancholii* Justine na swoją siostrę Claire, która w panice próbuje uciekać na kraj świata; o dziwo, właśnie takie nastawienie było jedynym, które mogło pomóc (tu Lars von Trier dobrze zgadł!), bo przynajmniej pozwalało zachować kontrolę nad własnym rozumem. Rak planety, jej genetyczny błąd – oto kim naprawdę jesteśmy.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam te słowa, obecnie powielane przez setki ekologicznych stron internetowych i wyświechtane do cna. W Kijowie 1986 r. nie brzmiało to banalnie – i nie wymagało przypisu do źródła (którego, swoją drogą, do dziś nie znam!). (...)

ALE CHYBA JESZCZE NIE WYJAŚNIŁAM NAJWAŻNIEJSZEGO. NAJWAŻNIEJSZE POLEGAŁO na tym, że w maju 1986 r. stolica pewnego na wpół zapomnianego narodu, miasto zwane we wschodniochrześcijańskiej tradycji „drugą Jerozolimą” i przez analogię do pierwszej też uważane za „wieczne” (początki nieznane, założyciele legendarni, nieprzerwanej historii – co najmniej 15 wieków), nagle i równocześnie całe poczuło się śmiertelne – i przez kilka tygodni, niczym zaciśnięte w pięść, żyło w tym stanie. Wszystkie opisane w stresologii następujące po sobie fazy ludzkiej reakcji na katastrofę („To niemożliwe!”, „Jak to się mogło stać?” i „Dlaczego ja?”) każdy przeżywał, rzecz jasna, po swojemu, ale podmiotem cierpienia było jednak „my”: „my”-miasto, „my”-naród i nieco bardziej w tle, ale nieodmiennie – „my”-ludzkość i „my”-życie¹. Żadne analogie na nic się tu zdadzą i właśnie to nazywam przerażeniem, można nawet wielką literą – Przerażeniem: poczucie, że koniec świata już nastąpił, tylko dowiedzieliśmy się o tym zbyt późno. Historia się skończyła, pozostała fizyka: puste, lśniąco mokrym blaskiem ulice, nieznośnie kwitnące ogrody i parki (miejsca o podwyższonym tle radioaktywnym!), na głucho pozamykane okna, które też gromadnie lśniły w słońcu jak bielma naglej ślepoty (jak protoobraz naszych dzisiejszych „czarnobylskich zaćm” i wczesnej jaskry...) – planeta bez ludzi, świat umyty i wysprzątny, który zostawiamy po sobie, no właśnie: komu?... Gdyby pośród białego dnia gdzieś w mieście wylądowali kosmici, nikogo by to nie zdziwiło. Pasowałoby to przynajmniej do znanych z poprzedniej epoki zasad kompozycji: zawsze to jakieś rozwiązanie akcji.

Ale kosmitów nie było.

My, którzy nie zdołaliśmy wyjechać (a byli i tacy, którzy nie chcieli, postanowili zostać „ze swoim miastem”, jak ci czarnobylscy samowolnie osiedleńcy – tak czy inaczej, powszechny stosunek do tych, którzy szturmowali dworce i w panice uciekali gdzie oczy poniosą, był nieco lekceważący, wyjątek stanowili tylko rodzice z małymi dziećmi, choć może miał tu znaczenie również fakt, że przecież jako pierwsi wyjechali ci uprzywilejowani, „nomenklatura”, zupełnie jak w pierwszych dniach wojny...), spotykaliśmy się za zamkniętymi na głucho oknami, piliśmy naszego „przeciwpromiennego” caberneta (płynu Lugola i tak nie było w sprzedaży!), zachrypłymi, „jodowanymi” 



▣ 23 kwietnia 2015 r., Prypeć, pozostałości sali dla noworodków w tutejszym szpitalu fot. Hans Van Rhoon/Corbis/Profimedia

głosami starych pylików przekazywaliśmy sobie plotki, dowcipy i nieprzyzwoite wierszyki, patrzyliśmy przez wymyte do czysta szyby na nasze miasto – najpiękniejsze miasto na świecie! – i od czasu do czasu powtarzaliśmy: „Dobre było miasto!” – żart, który w dowolnym towarzystwie zawsze wywoływał śmiech, nieważne, ile razy go powtarzano: pogłoski o możliwej ewakuacji Kijowa, w ślad za Prypecią, krążyły bardzo natrętnie (już po rozpadzie ZSRR dowiedzieliśmy się, że taki wariant naprawdę był „na górze” brany pod uwagę!); równocześnie nad miastem wciąż wisiała groźba wycieku radioaktywnej wody z elektrowni do Dniepru – czyli perspektywa skażenia całego basenu Morza Czarnego, więc coś nam pozostawało oprócz śmiechu – no przecież nie słuchanie Wagnera?... (Tam gdzie można bez hysterii słuchać Wagnera, nie jest jeszcze tak źle!)

Tak przy okazji: u von Triera nikt nie śmieje się, kiedy nadciąga strach, i to jest, moim zdaniem, najlepszy dowód, że jego ludzkość „na nic lepszego nie zasłużyła”. Śmiech jest nie tylko środkiem psychologicznej samoobrony, ale także przejawem społecznej otwartości (nie ze wszystkimi można się śmiać, a już na pewno niespecjalnie da się pośmiać w samotności!); wspólny śmiech jest tak samo niezbędny w związkach międzyludzkich jak wspólne spożywanie pokarmów. Jeśli w rodzinie, nawet w obliczu wspólnej śmierci każdy do końca pozostaje, jak na uroczystym wieczorze, beznadziejnie i samotnie uwięziony w kokonie własnej „roli” („opiekuńczy ojciec”, „czuła matka gospodyni”, „niepokorna buntowniczką dysydemtka”

– w porównaniu z pierwszą częścią filmu nic się nie zmieniło, wszystkie marionetki pozostały na swoich miejscach!) – i ma odwagę wyjść z tego kokonu i z innymi „wziąć się za ręce” dopiero wtedy, kiedy trzeba uspokoić dziecko pod spadającym na ziemię niebem (a i to nawet – nie wyjść, tylko zmienić „scenariusz gry” – tym razem na dziecięcy, dzięki czemu w ostatnich minutach gra nareszcie, naprawdę „magicznym” sposobem, nabiera sensu: nie dzieli już, tylko łączy) – to takiej ludzkości, zgadzam się, rzeczywiście nic już nie pomoże. W naszych warunkach w takich „kokonach ról” niezmiennie defilowali partyjni ortodoksi, rzecznicy KC partii komunistycznej, którzy swoim zachowaniem bardzo przypominali bohatera Kie-

fera Sutherlanda (a może to bohater *Melancholii* 25 lat później naśladował ich?...), i jeszcze oficerowie KGB, którzy jako jedyni byli chyba szczęśliwi, bo przybyło im pracy: pod koniec maja jeden taki przychodził mnie werbować i prawie trzy godz. bohatersko wędrowaliśmy z nim ulicami „na świeżym powietrzu”, zadziwiając nielicznych przechodniów (zapropomował wprawdzie, byśmy poszli do restauracji – w tamtym momencie spaceru „na świeżym powietrzu” odradzano już całkowicie oficjalnie – ale na to zgodzić się nie mogłam: restauracja to już, było nie było, „początek umowy”, po którym odmówić „współpracy” byłoby znacznie trudniej, więc łykanie dodatkowej porcji mikrorentgenów – jaka już różnica, kilka w tę czy

w tamtą? – było znacznie bardziej atrakcyjnym wariantem). Pięć lat później kraj tych wszystkich smutnych panów też okrył się własną *Melancholią*, i jeśli nie jeden z nich tak samo poważnie uznał to za „wybuch planetarny” (czy też, wedle słów rosyjskiego prezydenta, za „największą katastrofę geopolityczną XX w.”), to w porównaniu z bohaterami von Triera mieli oni tę przewagę, że do końca niczego nie zrozumieli. Ci, którzy próbowali zrozumieć, tej przewagi nie mieli. Z Przerażeniem, które przed nami stanęło, trzeba było nauczyć się żyć: mówiąc językiem mitu von Triera – nauczyć się przyjmowania kąpeli słonecznych w blasku *Melancholii*.

Pytanie „dlaczego my?”, jak każde inne, skoro zostało zadane, zakłada istnienie odpowiedzi – gdzieś „w zbiorowej mądrości”. Komuś taka myśl może się wydać bluźnierstwem, ale gdyby tak na moment spróbować wyobrazić sobie, że jest się reżyserem tego filmu, w którym my wszyscy, 7 mld „bezpłótych dwunogów”, robimy zaledwie za tłum w scenie zbiorowej, to trzeba powiedzieć wprost: „poletka” do przeprowadzenia takiego doświadczenia w obu przypadkach – i Czarnobyla, i Fukusimy – zostały wybrane z jakimś sensem. Każdemu dane będzie tyle, ile zdoła wytrzymać – ta prawda w równej mierze odnosi się do jednostek, co do narodów. Stało się tak, że oswajać się z „nowym przerażeniem”, które niesie ze sobą epoka katastrof ekolo-

Rak planety, jej genetyczny błąd – oto kim naprawdę jesteśmy

gicznych, jako pierwszym przyszło tym narodom, które już miały w swojej pamięci „doświadczenie apokalipsy” – nie „zbiorowej śmierci” epoki masowej zagłady, ale właśnie „końca świata”, czyli takiej katastrofy, która burzy pierwotny („kosmiczny”) porządek rzeczy, a przyroda przestaje być dla człowieka biologicznym „domem”.

Japonia zyskała to doświadczenie w 1945 r., po wybuchu amerykańskiej bomby atomowej. Ukraina – w roku 1933, po zupełnie innym „bombardowaniu”, które potem przez kolejne 60 lat pozostawało „niewidzialne” (nie licząc pamięci potajemnie przekazywanej w rodzinach ofiar) i dlatego do dziś nie zostało należyście ocenione pod względem skutków cywilizacyjnych. Muszę więc choćby w skrócie wyjaśnić, dlaczego „trzydziesty trzeci”, jak przez długi czas, nieco konspiracyjnie, określano go w żywym języku (oficjalna nazwa – Holodomor, Wielki Głód – weszła do użytku niedawno i wśród starszego pokolenia się nie przyjęła), odcisnął się na ukraińskiej świadomości traumą chyba jeszcze większą niż II wojna światowa, i to traumą prawdziwie ontologiczną. Rzecz nie w dokładnej liczbie zmarłych, której najprawdopodobniej nigdy już nie da się ustalić („od 3 do 10 mln” – widełki już same w sobie makabryczne!). I nawet nie w tym, by w końcu jasno i wyraźnie wskazać winnych (główny punkt sporny, który sprawia, że Wielki Głód do dziś jest obiektem międzynarodowej koniunktury politycznej i wzburza umysły wcale nie samych tylko historyków!) – przynajmniej nie tylko w tym, choć byłoby to ogromnie ważne dla zachowania wśród ludzkości XXI w. wiary w zdrowy rozsądek (męczeńska )